

प्राच्यविद्या पत्रिका

东

方

观

察

مجلة الاسنشرق

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

PANSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

WARSZAWA

4 (72)

1969

KWARTALNIK

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Witold Tyloch, <i>Problemy orientalistyki w ćwierćwieczu PRL</i>	233
Tadeusz Pobożniak, <i>Gandhi a Polska</i>	331
Mieczysław J. Künstler, <i>Ma Żung</i>	337
Stanisław Piłaszewicz, <i>Z dziejów literatury Hausa</i>	347

UTWORY LITERACKIE

Abig Awakian, <i>Ten maleńki ciasny świat</i> (z ormiańskiego przełożył Bohdan Gębarski)	353
Bhasa, <i>Sen</i> (z sanskrytu przełożył Maria K. Byrski)	359
Yaşar Kemal, <i>Szerszeń</i> (z tureckiego przełożyła Małgorzata Łabęcka-Koecherowa)	371

MATERIAŁY I NOTATKI

Maria Składankowa, <i>Pamięci prof. Jana Rypki</i>	375
Franciszek Tokarz, <i>W kwestii transkrypcji i spolszczania wyrazów sanskryckich oraz wyrazów prakryckich pali i ardhmagadhi</i>	379
Eugeniusz Słuszkiewicz, <i>Uwagi w kwestii spolszczania wyrazów sanskryckich</i>	383
Maria Juszkiewiczowa, <i>Japoński zespół tańca i pieśni</i>	385
Anna Kowalska-Lewicka, <i>Polska misja naukowa w Mauretanii i Senegalu</i>	389
Joanna Mantel-Niećko, <i>Polska wyprawa alpinistyczna w Etiopii</i>	390
Ludomir Rubach, <i>Dotychczasowa działalność TPP-I</i>	391

RECENZJE

Z KSIĄŻEK

Anna Mrozek, <i>Koran a kultura arabska</i> (Ananiasz Zajączkowski)	393
Abu Nasr Muhammad Ibn Turhan Ibn Uzlug al-Farabi, <i>Państwo doskonałe. Polityka</i> (Edward Szymański)	396
Thorkild Hansen, <i>Arabia Felix</i> (Alina Mrozowska)	398
Maria i Bogdan Składankowie, <i>Wyprawy krzyżowe</i> (Witold Tyloch)	400
Seven Runciman, <i>Upadek Konstantynopola 1453</i> (Jan Reychman)	402
И. М. Дьяконов, <i>Предистория армянского народа</i> (Maciej Popko)	405
К. В. Васильев, <i>Планы сражающихся царств</i> (Mieczysław J. Künstler)	406



ABIG AWAKIAN

TEN MALEŃKI CIASNY ŚWIAT

Halili zginął w naszych oczach. Na tych przeklętych samolotach „Audax” można było wykonywać tylko pięć pętli, Halili zrobił ich czternaście, z piętnastej już się nie wydostał.

Cóż to było za widowisko, kiedy spadał, Boże mój!

Z wyciem nadleciały samochody pogotowia ratunkowego — naraz trzy. A w ślad za nimi i my nadbiegliśmy. Dopalały się resztki samolotu, paliła się w koło ziemia. Razem z samochodami pogotowia zaczekaliśmy do samego końca — aż wszystko zgasło.

Był wiosenny czwartkowy poranek roku 1940.

Wiosna w Teheranie była w tym roku wczesna. Jakoś zbyt pospiesznie rozwijały się pączki, a w samym powietrzu wiosennym było coś zwodniczego i niepewnego.

Wracaliśmy do koszar, pozostawiając na polu gorący popiół. Byliśmy wściekli i staraliśmy się unikać wzajemnie swego wzroku; jedni patrzyli na hangary, inni na równiutkie pole, jeszcze inni na własne buciki. Ale był wśród nas jeden taki, który nigdzie nie patrzył, niczego nie widział i w ogóle przestał już nad sobą panować. To był nasz kolega, Razegi, damgańczyk¹, z pięknymi smutnymi oczyma, spokojnymi i powolnymi, jak wieczorny cień pistacjowych ogrodów w jego ojczystym Damganie, ale z duszą zupełnie niepodobną do tych oczu — porywczą i burzliwą.

— Czy to jest życie, niech je diabli porwą! — wołał, klnąc na czym świat stoi i wykrzykując co mu ślina na język przyniosła.

Wiosenne niebo było błękitne i czyste.

Myslałem o tym, że jutro piątek — dzień świąteczny, a na rogu, na skrzyżowaniu Darwaze i Kazwin, na Halilego będzie czekała jego dziewczyna, Monire. Widywaliśmy ją tam co piątek w pobliżu *czajhane*, pod drzewem. Nieśmiało witała się z nami i szukała oczami Halilego.

A był to najbardziej niezdyscyplinowany uczeń szkoły lotniczej. Za rozmaite szaleństwa coraz to dostawał „koszarniaka” i przez cały dzień nie wychodził na miasto. To też często zdarzało się, że w piątek, kiedy wysiadaliśmy na rogu z autobusu, Monire zatrzymywała któregoś z nas i pytała:

— Czy Halili i dzisiaj nie przyjdzie?

Jutro będzie piątek, co powiemy Monire?

¹ Mieszkaniec miasta Damganu w północnym Iranie.

— Cholera z tymi samolotami! Spalić je wszystkie co do jednego, zniszczyć, żeby śladu nie zostało! — krzyczał damgańczyk Razegi. — I potem jeszcze plunąć na tę cholerną ziemię!

O dwunastej wykład geografii. Wykładowca stał już na schodach. Czekał na nas. Słyszał już, że ktoś z nas zginął, ale nie wiedział który, ani w jaki sposób. Sam zresztą nie był lotnikiem.

Zostało nas teraz jedenastu kandydatów do ukończenia szkoły lotniczej. Za spóźnienie udzielono nam nagany.

— Nasz kolega, Halili, zginął — powiedziałem.

— Słyszałem. To bardzo przykre — powiedział profesor. — Ale mimo to nie powinniście lekceważyć przepisów. To jest szkoła a nie...

— Nasz kolega, Halili, zginął — krzyknął strasznym głosem Razegi. — Powiedziano już panu, że zginął. I nic po nim nie zostało. Nic, co można byłoby pochować. A pańską szkołę, pańskie wykłady i pańską geografję to ja mam gdzieś! I pana też!

Przytrzymaliśmy go, bo rwał się do bicia, a to już byłby niezgorszy skandal. Zresztą i tak wykładowca obraził się śmiertelnie i więcej go już nie oglądaliśmy.

Było już koło północy, kiedy zadzwoniono ze Sztabu Głównego. Dowiedzieliśmy się, że jutro o świcie szkoła otrzyma trzy samoloty amerykańskie typu „Hurricane” i wszyscy słuchacze ostatniego kursu mają pozostać w koszarach oraz asystować przy ceremonii powitania amerykańskich lotników.

Razegi wstał z łóżka, ubrał się i na pytanie, dokąd go diabli niosą o tej porze, tylko brzydtko zaklął. Wrócił z paroma butelkami pod pachą, dał w kark służbowemu, który go nie chciał wpuścić do sali, a potem kopnięciem wywrócił parę krzeseł.

Wszyscy jedenastu piliśmy z wielkich szklanic i myśleliśmy w milczeniu o tym, że jutro piątek, że koło *czajhane* będzie na nas czekała Monire i że — dzięki Bogu — na skutek przyścia amerykańskich „Hurricaneów” nie będziemy mieli wolnego dnia i nie spotykamy się z nią.

O świcie przybyły „Hurricane”. Staliśmy na polu, kiedy lądowały. Na tle czystego, wiosennego nieba wydały się one nam niezwykle lekkie, szybkie i śmigłe.

Generał lotnictwa opuścił naszą grupę i pospieszył w kierunku gości. Potem my również podeszliśmy do Amerykanów i wymięliśmy z nimi uściski dłoni. Zaproponowali nam obejrzenie samolotów oraz ich nowoczesnego sprzętu, który zresztą naprawdę był bez zarzutu, aż do najmniejszych drobiazgów. Generał uśmiechał się z zachwytem i potakiwał ruchem głowy, a Razegi kąsał wargi i odwracał się.

W pobliżu hangarów ustawiły się nasze „Audaxy” jak puszczyki.

— Co to takiego? — spytał dowódca „Hurricaneów”.

W naszej grupie tylko ja jeden trochę rozumiałem po angielsku i powiedziałem mu, że to są samoloty, że mają dwa skrzydła, kierownicę i siedzenie, no i oczywiście motor, który co prawda jest trochę ciężkawy i nie zawsze słucha nas.

— I wy startujcie na nich?

Powiedziałem, że startujemy, a nawet osiągamy dwa i pół tysiąca metrów, co zresztą jest wzbronione, robimy czternaście pętli, co też jest wzbronione, a potem spadamy i zabijamy się...

— Co też jest wzbronione? — uśmiechnął się amerykański lotnik.

Dowcip był nie na miejscu, toteż roześmieli się tylko Amerykanie.

Jak to dobrze, że wolny dzień diabli wzięli, że nie spotkamy dzisiaj Monire i że nie musimy jej powiedzieć: „Nie czekaj już na Halilego”!

— Powinno być wzbronione — powiedziałem.

Amerykanin znowu się uśmiechnął. Miał sympatyczną twarz, o regularnych rysach i jasne niebieskie oczy. Patrzył na stojące przed hangarem „Audaxy” i na błękitne, teherańskie niebo. Dla niego wszystko było jasne i proste, bo on prowadził „Hurricany” i wiedział, że na nich można swobodnie osiągnąć siedem tysięcy metrów, robić siedemset pętli i potem spokojnie lądować, gdzie tylko dusza zapragnie.

I czemu ten Halili zrobił takie głupstwo?

Serce ludzkie czasem ma ochotę rozerwać się z rozpacz.

— Weź się w karby! — szepnąłem do Razegi. — Jak oni sobie pojada, to rób co chcesz... Przy obcych nie trzeba.

Generał przyjacielsko poklepując gości po ramionach poprowadził ich w kierunku koszar. Szliśmy w ślad za nim. Generał rozpaczliwie gestykulował, wskazując na niebo, na ziemię i na nasze puchacze, „Audaxy”, które niezręcznie przykucnęły koło hangarów. Potem wskazał na nas i właściciele „Hurricanów” przyjaźnie się roześmieli.

Razegi znowu spąsował.

— Zabiję i generała i te małpy i was.

Obejrżeli się. Dowódca amerykańskiej grupy zawrócił do nas i spytał mnie:

— Katastrofa?

Kiwnąłem głową.

— Wczoraj nasz kolega nie wyszedł z *loopingu*. Zresztą z własnej winy. My na dole naliczyliśmy czternaście pętli.

Całą drogę od lotniska szliśmy w całkowitym milczeniu. Tylko generał nie przestawał wymachiwać rękami. Razegi gryzł wargi, dowódca Amerykanów palił papierosa po papierosie. Niebo było intensywnie niebieskie.

Czy Monire wie o tym, co się stało?

Następnie generał demonstrował gościom nasze sypialnie i audytoria, jadalnię, kuchnię, miejsce gdzie ma być zmontowany basen kąpielowy, pokój, który ma być zarezerwowany dla gier sportowych oraz taras, na którym mają być zbudowane pasy startowe dla specjalnych samolotów i specjalnych gości, których nie ma, jak nie ma samolotu 216, w którym wczoraj zginął Halili.

Lotnicy, którzy prowadzili „Hurricany” oraz ich drudzy piloci i mechanicy pokładowi mieli trochę odpocząć, wykąpać się i przebrać, po czym, jak zawsze w podobnych wypadkach, przewidywany był bankiet.

Życzyliśmy im przyjemnego wypoczynku i zawróciliśmy. Amerykański dowódca „Hurricanów” poszedł z nami.

— Nazywam się Bolth — przedstawił się. — Więc pan powiada, że czternaście pętli...

— Czternaście... Piętnastej lepiej było nie oglądać.

— Nie mam ochoty odpoczywać — powiedział Bolth. — Chodźmy się czegoś napić. Oczywiście ja funduję.

W tej chwili wezwał nas generał.

— Pamiętajcie, żebyście się nie upili. I ani słowa o rozbitym samolocie. Oni są naszymi gośćmi do poniedziałku. Musimy podejmować ich wzorowo.

— Tak jest, panie generale — odpowiedzieliśmy chórem.

Generał niechętnie zerknął na Razegiego.

— Uważajcie, żeby ten nie pił. Jeżeli człowiek jest z natury głupi, to nikt nic na to nie poradzi. Wy mnie słuchacie?

— Słuchamy, panie generale.

— Nikt mu nie kazał robić czternastu pętli. Wiecie, że kształciłem się w Londynie, jako pierwszy irański lotnik. Moim nauczycielem był Benth... „Hosrowi” — mawiał do mnie major, niech mu ziemia lekka będzie. „Hosrowi” — powiadał — „dzisiaj musisz zrobić pętlę, ale trzy razy, nie więcej”. „Rozkaz!” — odpowiadam i robię nie pełne trzy pętli, a dwie i pół. Połówkę zawsze zostawiałem diabłu i archaniołowi Gabrielowi, którzy w czasie robienia tych cholernych pętli, niech je piekło pochłonie, zawsze siedzą koło lotnika i pilnują go... czy wy mnie słuchacie?

— Słuchamy, panie generale!

— Na czym to ja stanąłem?

— Pan generał mówił: dwa i pół, diabeł, archanioł Gabriel...

— Przez całe swoje życie nie doszedłem nigdy do trzech pełnych obrotów. A wy nie spuszczaście nosów na kwintę. Jak człowiek zdecydował się być lotnikiem, to nie może być zbyt czułostkowy. Dzisiaj już jestem grubasem, nie mieszczę się w kabinie, bo bym tak samo jak Halili... Cóż, kiedy nie mieszczę się w kabinie! — i generał roześmiał się.

— Słyszeliście, co mówiłem?

— Słyszeliśmy, panie generale.

— Na czym to ja stanąłem?

A wówczas Razegi znowu nie wytrzymał. Krzyknął nieswoim głosem:

— Na Halili.

Generał lotnictwa i szeregowy aspirant Razegi patrzyli sobie w oczy. Generał był małego wzrostu, z dużym brzuchem i szerokimi plecami. Spostrzegłem jak zadrżał jego otyły podbródek. Ale nie z gniewu. Dwaj ludzie stali naprzeciwko siebie. Gorące popielisko nieskończenie zbliżyło ich i zarazem nieskończenie od siebie oddaliło. Generał machnął ręką, odwrócił się i odszedł. Patrzyliśmy na jego plecy, które nagle stały się jakieś żałosne.

Teraz siedzimy w małym podmiejskim barze. Bar nazywa się „Banafsze” co znaczy „Fiołek”. Obsługuje nas niemłoda już, ale zalotna kobieta i cały czas kokietuje, czyniąc dość niedwuznaczne gesty. Gdzieś w pobliżu brzęczy gitara i ktoś śpiewa. To bardzo stara, ale zarazem bardzo miła piosenka:

„Czekam na ciebie i wiem, że przyjdiesz”.

Czy aspirant Halili przyjdzie do ciebie, Monire?

Poza oknem widać czyste wiosenne niebo bez żadnego obłoczka.

A my pijemy. Zapomnieliśmy o wszystkich generałach na świecie, zapomnieliśmy o naszych gościach, których wieczorem mamy zabawiać.

Bolth znowu pyta:

— To powiadasz pan, że czternaście pętli?

Bywa tak, że człowiek ma ochotę od razu wszystko wygarnąć. To, co nagromadziło się w nim, zaciążyło na pamięci i męczy go. To, jak Halili, najbardziej niezdyscyplinowany lotnik, wracał późną nocą z miasta, jak śmiał się i opisywał wszystko, co działo się u niego w domu. „Świekra mojej siostry obraziła się i odeszła z domu dlatego, że nasza sąsiadka poprosiła mamę o pożyczenie wielkiego rondla i mama go dała, a świekra siostry obraziła się śmiertelnie: Kto tu jest głową domu?” A mama odpowiada: „Ja”. Świekra zaś mówi: „Nieprawda, bo ja”. Natychmiast zażądano rondlek z powrotem i ustawiono na dawnym miejscu. No i od razu powrócił spokój... Ale za to matka nie daje mi spokoju: „Kiedy wreszcie dojdiesz do rozumu? Wnuków chcę mieć — powiada — umieram bez nich z nudy”.

Halili czasem wściekał się na nas: „Nie słuchacie mnie, przekłete ofiermy, a ja się trochę wstawiłem i mam ochotę pogadać. No, nie śpijcie jeszcze, do jasnej cholery! Mojej Monire widzicie niczego na świecie nie potrzeba, byleby tylko widziała mnie co piątek. I nic więcej! — Będę czekała na ciebie koło naszego drzewa — powiada i pójdziemy gdziekolwiek razem, dobrze? Jeżeli chcesz to pójdziemy do ‘Abszar Fahlawi’ albo pójdziemy do ‘Szemiranu’, albo nigdzie nie pójdziemy. Albo w ogóle nie będę czekała pod drzewem, jeżeli nie chcesz. Tylko przyjedź...! — Powiedzcie mi, dlaczego w tym małym, ciasnym świecie ludzie nie znajdują sobie miejsca? No, obudźcie się już do jasnej cholery! Spróbujmy porozmawiać jak ludzie. Mojego szwagra wyrzucili z fabryki, bo, idiota, przyłączył się do strajkujących. Myślał, że świat przewróci do góry nogami... Monire, zacna dziewczyna, dlaczego więc nie podoba się mojej mamie? — Kiedy zmądrzejesz, synku? — powiada. To dziewczyna z niższych sfer. Nie dorosła do nas. — Co to za niższe sfery, powiedzcie mi. Nie, jak pragnę Boga, to czegoś tu nie rozumiem. No wstawajcie, do jasnej Anielki”!

Bo czasem człowiek chciałby naraz opowiedzieć bardzo wiele.

— Tak, czternaście pętli — odpowiedziałem Bolthowi. — A poza tym on kochał pewną dziewczynę. Ona w tej chwili właśnie czeka na niego koło *czajhane*.

Amerikanin i tym razem zażartował, ale w jego głosie było szczere współczucie:

— I czy długo będzie na niego czekała przy tym *czajhane*?

— Chyba całe życie.

Razegi spadł z krzesła. Dlatego, że był pijany i dlatego, że był zrozpaczony. A może dlatego, że na tym maleńkim ciasnym świecie są tysiące rzeczy niezrozumiałych, z którymi ja — podobnie jak Halili — nie mogę sobie dać rady.

Dowódca „Hurricanów” znowu zapytał:

— Naprawdę czternaście?

Razegi wygramolił się spod stołu i wygłosił „mowę”.

— Dajcie nam wasze „Hurricany”, a zrobimy na nich sto tysięcy pętli, wlecimy sto tysięcy metrów do góry, a w razie potrzeby zejdziemy sto tysięcy metrów pod ziemię. Zobaczymy, którzy lepsi. Wy czy my?

Przetłumaczyłem Bolthowi „mowę” przyjaciela.

Amerikanin odpowiedział poważnie:

— Wy.

„Czekam na ciebie i wiem, że przyjdiesz”.

Jaka dziwna jest ta stara piosenka.

Razegi opuścił głowę na ręce. Płacze. To dobrze, że nie stara się ukryć przed nami swoich łez. Aspirant Bavay nagle wstaje i nie pożegnawszy się z nikim wychodzi. Domyślam się dokąd poszedł ... Aspirant Rezay wpatruje się w jeden punkt, kiwa głową i liczy pętle Halilego: dwanaście, trzynaście, czternaście, trzynaście, dwanaście ... Aspirant Ahmadian ogląda fusy po kawie, ale myślą jest gdzie indziej — w swojej ojczystej wiosce, wśród bagien i ogrodów. Wolałby trząść się tam na arbie, zamiast latać tu na samolotach.

Samolot, rondel, zdziwione oczy Monire, pętle. Generał lotnictwa Hosrowi, samochody pogotowia niepotrzebne już, zbyteczne, skoro już wszystko skończone ... O, ileż jest jeszcze rzeczy w tym maleńkim, ciasnym świecie, o których chciałoby się tyle powiedzieć, wszystko naraz!

A nic z tego nie wychodzi.

Z ormiańskiego przełożył
Bohdan Gębarski

